

NA POCZĄTKU BYŁO... CICHO

Poranek był mroźny, czysty jak sumienie lisa w klatce. Wiatr szalał po bezchmurnym niebie wysoko ponad koronami drzew, od czasu do czasu pogwizdując popularną w tych stronach melodię. Poniżej poziomu szyszek, pogrążony w letargu świt nic o tym jednak nie wiedział. Opustoszały zimą trakt stał się ledwo widoczny pod świeżo spadłym śniegiem. Wąska przecinka wijąca się pomiędzy szpalerem jodeł zlewała się na horyzoncie z morzem białych drzew. Wszechobecny spokój był złowieszczy, przytłaczał. Ukryta pod długim, czarnym płaszczem postać nadawała ton okalającej ją ciszy. Narzucony na pochylone czoło kaptur szczelnie zakrywał każdą emocję. Stojący o kilka metrów dalej Sajmonella wpatrywał się w nieruchomą zjawę z narastającym napięciem. Spod kruczoczarnej kapuzy nie wydobywał się żaden szmer, nie parował oddech.

Fajtera nie dziwił fakt, że płaszcz unosił się kilka centymetrów nad ziemią. Wiedział, kim była tajemnicza postać, wiedział, skąd przybyła, jak zwykle nie miał tylko pojęcia po co. Poczul znajomy ucisk świadomości w myślach. Magiczna czy nie, telepatia zawsze nieprzyjemnie osaczała.

— Com rzekł, rzekłem — wyszeptał przemarzniętymi ustami. Ucisk wzmógł się, lecz po chwili zelżał, by w końcu zniknąć zupełnie. Jedno mrugnięcie powiekami później odzianej w czerń postaci już nie było. Rozpłynęła się w porannych odmętach absurdu tak szybko, jak się pojawiła. Młody jeszcze fajter chuchnął w skostniałe dłonie i ruszył powoli w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ PIERWSZY — ZACZĄTEK

Było ciepłe lato, bo rzadko padało... — Maćko Lowkick zanucił pod nosem starą fajterską baladę. Ściągnął delikatnie lejce. Rudą klacz Imobilajkę traktował prawie jak członka rodziny. Poza nią nie miał zresztą nikogo, kogo mógłby kochać. Najpierw wyszumiana młodość, potem kariera w Gildii, nic szczególnie oryginalnego. A lata mijały coraz szybciej. Nim się obejrzał, dotarł do pierwszych siwych zmarszczek. *Dużo wina się piło, bo mocno staniało. Tak zaczęła się, ta fajterska przygoda. On był już niemłody, lecz ona była skora. Zakoch...* — stary fajter urwał gwałtownie, gdy zza zakrętu wychynęła żwawo młoda kobieta trzymająca za rękę małą dziewczynkę, niemal wlekąc ją za sobą. Na widok obcego mężczyzny, przyspieszyła nerwowo kroku, gdy jednak podmuch wiatru uchylił płaszcz fajtera na wysokość wypchanej sakiewki, przystanęła. Przybierając błagalny wyraz twarzy, pospiesznie poszarpała tu i ówdzie wysłużoną chustę okrywającą ramiona. Przyciągnęła do siebie dziecko, wyciągając jednocześnie rękę w stronę mijającego ją Maćka.

— Panie — wymamrotała zmęczonym głosem. — Dej pan na chorom córkiem, nie żałuj pan dziecku...

Lowkick nawet się nie obejrzał. Miał już dość tej nowej, namolnej mody żebrackiej. Młode matki z dziećmi, ciągnące od klasztoru do dworu i z powrotem, bo ksiązę obiecał im ziarno za darmo, opat mąkę, a robić nie było komu. Za jego czasów ludzie mieli po pięcioro dzieci i jakoś dawali radę. Maćko cmoknięciem zachęcił klacz do kłusu. Zanim zniknął za zakrętem, zdążył jeszcze usłyszeć pomstowanie kobiety:

— Patrzcie go, bogocz się znalazł, a dziecku żałuje! Nie mosz woli, to nie dej, a co, na biednom nie trařło!

Po kilku milach dotarł do podnóża Krasnego Wierchu. Za nim leżało Helmsby, cel obecnej podróży. Zsiadł powoli z konia i ruszył pieszo na szczyt. Imobilajsa kroczyła przez chwilę za nim, zatrzymując się tu i ówdzie na kilka skubnięć trawy dla zdrowotności. Po dotarciu na szczyt Maćko zboczył z traktu w las. Lawirując ostrożnie między świerkami, dotarł na jego skraj. U stóp wzniesienia rozpościerała się dolina Beczycanki. W oddali dostrzegł senne Helmsby, przytulone jednym bokiem do rzeki. Zlustrował uważnie zabudowania i najbliższą okolicę ze zmarszczonym czołem. Ani śladu bandy, na której ślad wpadł wczoraj, a przecież musieli tędy przejeżdżać. *Czyżby zawrócili? Ale dlaczego? I którędy?* Westchnął ciężko, poirytowany. Nie cierpiał zagadek.

Przez kilka chwil obserwował jeszcze wioskę, po czym wycofał się z powrotem na trakt, starając się wracać po własnych śladach. Klacz podgryzała resztki trawy tam, gdzie ją zostawił. Uśmiechnął się pod nosem. Stara, dobra Imobilajsa. Jeszcze nikomu nie dała się porwać. Wskoczył na siodło, cmoknął głośno i pocwałował ku przeznaczeniu.

Nigdy wcześniej nie był w Helmsby. Gdyby pościg poprowadził go w inne strony, pewnie umarłby, nie wiedząc nawet, że taka wioska w ogóle istnieje. Kilkanaście rozrzuconych chat leżało daleko od najbardziej uczęszczanych szlaków, o całe mile od strategicznych traktów. Wieś jakich wiele w tej części księstwa, istniejąca, bo istnieć jakoś trzeba. Nie dziwiło go wcale, że bandzior, którego ścigał, zapuścił się właśnie w te rejony. Doskonałe miejsce na kryjówkę po rabunkowym wypadzie. Lowkick wciąż nie dowierzał, że Mospan ze swoją bandą mogli jednak zawrócić lub choćby minąć wioskę. Zostawił konia po bezpieczniejszej stronie rzeki i przekroczył powoli drewnianą kładkę na Beczycance. W napięciu stawiał kolejne kroki, z dłonią zaciśniętą na rękojeści miecza. Spodziewał się ataku spomiędzy chat w każdej chwili. Jeśli wypadną na mnie, to teraz, pomyślał, mijając pierwsze domostwo. Nie pomylił się.

Wypadli na niego z prawej, w zwartej grupie. Na czele pędziła mała dziewczynka, na oko może sześćioletnia. Krzycząc z radości, jaką daje tylko niespodzianka, pierwsza dobiegła do fajtera, sprawnie omijając przy tym sporą kałużę. Wyuczona nieufność nakazała jej zatrzymać się o kilka kroków od mężczyzny. Odjęła dłoń od rozdziawionej buzi dopiero, gdy dopędziła ją

rówieśniczka. Rozemocjonowanym szeptem komentowały sobie na ucho wygląd przybysza, zaśmiewając się przy tym filuternie. Dwie sekundy później, z patykami w dłoniach dobiegli do nich chłopcy. Wokół najwyższego z nich skotłowali się pozostali, okrzykami podziwu i zazdrości rozprawiając nad mieczem Lowkicka. Zanim fajter ochłonął z zaskoczenia, z najbliższej chaty wypadła młoda kobieta. Porwała szybko dziewczynki i uciekła pomiędzy budynki. Trzej mężczyźni nadbiegli od strony pobliskiej stodoły, trzymając w kurczowo zaciśniętych dłoniach widły. Na ten widok chłopcy urwali wpół okrzyku i jak na komendę rozbiegli się pomiędzy chaty. Zapadła względna cisza, przerywana jedynie tupotem i chlupotem kolejnych stóp. Nim Maćko zdążył mrugnąć po raz trzeci, była już przy nim cała męska część wsi. Powoli schował miecz do pochwy.

— Dzień dobry, tylko spokojnie — zaczął, unosząc ręce w obronnym geście. — Jestem z Gildii F...

— Poborca! — huknął ktoś z tłumu. Kilku mężczyzn pospiesznie schyliło się po kamienie. Krąg otaczający fajtera zacieśnił się.

— Nie, nie, zaraz, panowie! Fajterów, z Gildii Fajterów! — Lowkick zaczął układać w głowie plan wydarzeń na wypadek, gdyby któremuś z wieśniaków kamień wymknął się jednak z ręki. Mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie. Kilku ścisnęło mocniej widły, tak na wszelki wypadek.

— Ja wiem! Ja! Ja! — Przez tłum przecisnął się nagle wychudzony chłopak, właściwie już mężczyzna. — Gildia Fajterów, mistrzowie kifikajtingu! Olaboga, panie! Toście Wy? Naprawdę?

— T-t... tak, jam ci to. — Maćko ścisnął podaną mu dłoń. Nie miał pojęcia, co ten chłopak o cielejącym spojrzeniu miał na myśli. Grzechem byłoby jednak nie improwizować w tak napiętej sytuacji.

— Zapraszam, no zapraszam, no! Opowiecie, wszystko opowiecie, no! — Wieśniak złapał Lowkicka za rękaw i począł ciągnąć w głąb wioski. — Sajmonella, Sajmonella jestem panie!

— S-Sajmonella, tak... tak, dobrze... ale... ale koń... — Fajter obejrzał się jeszcze w kierunku rzeki. Wspominając później ten dzień, sam był zaskoczony, jak to niespodziewane pojawienie się podekscytowanego zasmarkańca go zdekoncentrowało. Dwóch najbliższych stojących mężczyzn gestem uspokoiło Lowkicka i ruszyło ku kładce. Młodzieniec nawet tego nie zauważył. Zасыpując przybysza gradem słów i pytań, powlókł go prosto przed sołtysa.

.....

Sołtys powłóczył lewą nogą prawie niezauważalnie, dużym palcem ledwo muskał klepisko. Utykał. Jednak utykał. *Klepisko, szlag by to.* W tej przeklętej wiosce nie było nawet porządnej podłogi w sali defiladowej sołectwa. Tak ją sobie nazywał. Tym dla niego była. Sala defiladowa. Codziennie pokonywał dystans od drzwi do wiklinowego siedziska przy południowej

ścianie niedużej sali z dumnie podniesioną głową. Niósł ze sobą przecież nie tylko powagę stanowiska, ale i rodzinną tradycję doświadczonych administratorów ludzkiego bytowania. Sołecki tron ze zdrewniałych chabazi ugiął się wcześniej pod jego ojcem, a przed nim dziadkiem i pradziadkiem. Kto wie, może nawet i pradziadowi antenaci grzmieli z tego miejsca dekretami, może wysoko uniesiony ton organizował życie wsi od niepamiętnych czasów, od momentu położenia pierwszego kamienia pod pierwszą chatę. Uśmiechnął się pod nosem. Zaiste, obecność jego rodziny to łaska dla tej zapomnianej krainy. Był o tym mocno przekonany.

Czasami zastanawiał się, jak miejscowi mogli w ogóle przetrwać od pierwszego do pierwszego przed przybyciem w te strony jego rodziny. Najpewniej wodzem zostawała zwykle jakaś niepiśmienna łajza lub nie było go wcale. Nic dziwnego, że Helmsby to nadal ledwo kropka na mapie księstwa. A mogło być tak pięknie.

Przesunął wzrokiem po twarzach mijanych wieśniaków, oczekujących go z niecierpliwością w sali defiladowej. Same zapite mordy, źle ogolone, w szarych, wymiętolonych łachach. Zaiste, jego ród to dar z nieba dla lokalnej społeczności. Obiecał sobie w duchu westchnąć wieczorem do kogo tam się wzdycha z wdzięcznością, podziękować za swoje istnienie, za intelekt. Za bycie szansą dla Helmsby. *Helmsby, psia ich mać, powinni zostać przy poprzedniej nazwie.* Najbardziej zapadła wioska w tej części gór. *O niewdzięczny losie, za jakie przewiny, przemknęło mu przez myśl. Szybko się jednak zreflektował — to na pewno misja, na pewno. Los zsyła mi zadanie godne tylko największych reformatorów. Jaki inny sens miałoby przyjście na świat akurat tu?*

Tymczasem jednak utykał. Starał się mimo wszystko trzymać prosto, kroczyć powoli i z godnością przed sznurem onieśmiałych powagą stanowiska petentów. Chyba nic nie zauważyli, dobrze się zaprezentował. Jak co dzień. Opadł na sołecki tron nieco ciężiej niż zwykle. *Trzeba będzie odstawić na jakiś czas soczewicę.* Kilka kilogramów więcej dobrze robiło na wizerunek, przydawało klasy, statusu. Należało jednak zachować umiar. Umiar w służbowej pulchności to podstawa.

Rzucił zmęczone, wystudiowane spojrzenie na oczekujących go Helmsbian. Znowu te same gęby, żadnego nieznanego. Nikt się tutaj nie zapuszczał, nawet przypadkiem. Przeorane pracą w polu chlebaki zamiast dłoni miętoszy zdjęte z szacunku czapki. Westchnął lekko, z nutką niechęci. Niech wiedzą, jaką łaskę wyświadcza ich przyziemnym sprawom, ile cierpliwości kosztuje go poświęcanie im swojego cennego czasu. A mógł przecież pić teraz kawę w izbie, taką prosto z pieca. Sonka na pewno już zaparzyła. Skinął głową na pierwszego z petentów.

— Czego Wam to kumie Udrzyk, rozumiecie, trza? — zagaił w lokalnej melodii. Urząd urzędem, w Helmsby musiał zniżyć się do poziomu wiejskiego grajka, aby być rozumianym przez tych tępych łotrów. *Helmsby, psia ich mać... żeby tak dotarło kiedyś do uszu hrabiego, przez*

jakie ja tu piekło muszę przechodzić. Może by tak, za te wszystkie lata, za ten ból istnienia — na wójta?

— No... to tego... — zająknął się niewysoki mężczyzna, mnąc w dłoniach starą czapkę. — Abo no... te rzepe, co to sołtys kazoł sadzić bokiem, co niby lepiej rośnie...

— Bo lepiej rośnie, psia mać! — Pulchna dłoń wbiła się w oparcie wiklinowego tronu. Nie znosił, kiedy kwestionowano autorytet jego intelektu. Wziął głęboki oddech. Godność i umiar, pamiętaj, godność i umiar. — No dobrze, co tam z tą rzepą...

— Ady z rzepom to nic, po prawdzie. Ino żeśmy od tej rzepy zbiegli ku wiosce, bo dziatwa się naraz rozdarła. No ismy chopa znaleźli. Nietutejszy łon, znaczy się, bo jakby on tutejszy, to ja bym sołtysa nawet nie... — Mężczyzna rzucił spode łba przestraszone spojrzenie na miejscowego władkę. — No to tego... taki kaprawy. To go Sajmonella ku Antkowy chaty włók, coby nie zmókł, bo po prawdzie to padać poczęło chwila temu, ale łon się wypi... spod, naczy się, na kamieniu się zatchnął, bo go Sajmonella włók niemiłosiernie, no i tego... i jemu się zemdlało, bo na głowę spod, tośmy go już w tyj Antkowy chacie łostawili... no i tego... no i on coś o gildii jakiś wcześni mamroto, tośmy pomyśleli, poborca. Ale nie, już go tam młody po drodze wypytoł, ale wie sołtys, jaki łon do tych spraw... no tośmy pomyśleli, może ten chop to handlowy, kupiec, naczy się. To jak łon znaczniejszy, to może by go tu...

— Bardzo dobrze, kumie, uczyniliście, bardzo dobrze! — wykrzyknął uradowany sołtys.

Twarz wieśniaka rozjaśnił uśmiech. Obejrzał się na pozostałych petentów, czy aby na pewno słyszeli. Takie uznanie z samego rana. Z ust własnego sołtysa. Musi zapytać starej, czy aby czego nie obchodzą dzisiaj. Może to jakie święto?

Tymczasem wiejski władka starał się opanować narastające podniecenie. Obcy we wsi! I to jeszcze w sytuacji wymagającej jego interwencji. *Nareszcie coś się, kurwa, dzieje! Żeby to tylko dobrze rozegrać, wieść pójdzie w świat na pewno. Wójtowanie w nagrodę jak uff a w pacierzu.* Oparł obie dłonie o oparcie fotela, ledwo ukrywając ich drżenie. *Jeśli to faktycznie kupiec, to aż klepnę Sonkę w tyłek z tej radości.*

— Prowadźcie, jeśli on znaczny, to istotnie urzędowa sprawa. Bez zwłoki się nią zajmę.

Uśmiech zniknął nagle z twarzy Udrzyka jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wyraźnie skonsternowany, spuścił wzrok.

— Ale... ale jakże to tak, bez zwłoki... on żyw przecie jeszcze, dycha... — wymamrotał niepewnym tonem.

Sołtys przymknął powieki, wciągając powoli powietrze. *Helmsby, psia ich mać...*

— Prowadźcie, kumie. Po prostu prowadźcie.

.....

Capito capem. Paskudną, ostrą woń z zamkniętymi oczami rozpoznałby nawet początkujący alchemik. Maćko swoich też przezornie nie otwierał. Nie był sam. A do tego capito capem. Poczuł na ramieniu kilka delikatnych muśnięć, czyjś palec szturchał go też w wewnętrzną stronę dłoni. Wypuścił delikatnie powietrze przez nos, bojąc się poruszyć ustami. W świeżo oprzytomniałej głowie poczuł nieprzyjemne pulsowanie. I ból. Szczeka drgała tępo, coraz nieznośniej. Znów kilka pociągnięć za włosy, jakiś palec zsuwał mu się po skroni w stronę ucha. Gdy dotarł na jego brzeg, Maćko zdecydował, że to najwyższy czas. Opowieści o Bumcnglu, które w dzieciństwie serwował mu dziadek, nie wzięły się znikąd. Otworzył oczy.

Kilkanaście centymetrów nad swoją twarzą zobaczył rozszerzające się źrenice jakiegoś chłopca. I długą strugę śliny, ciągnącą się od złożonych w dzióbek ust, którą ten starał się trafić w lewe oko mężczyzny. Strużka zatrzymała się tuż nad okiem powieką, zadrgała, po czym z głośnym siorbnięciem powróciła do ust właściciela. W mimowolnym odruchu obmierzłości, Maćko zacisnął pięści. Rozległ się głośny, dziewczęcy pisk, a mały palec wcisnął się gwałtownie do ucha Lowkicka. Fajter wyprostował się na łóżku jak wystrzelony z katapulty, zupełnie już przytomny.

W lewej dłoni zaciskał palec jakiejś dziewczynki, która z przerażeniem próbowała go stamtąd wyrwać, nieustannie przy tym piszcząc. Jej siostra, na oko może trzyletnia, ze strachu aż przysiadła na podłodze z buzią wykrzywioną do nadciągającego płaczu. Po chłopcu, który próbował trafić w Maćkowe oko, nie było już śladu. Do ściany tuż obok łóżka przywarł drugi malec, z przestraszonym wyrazem twarzy chowając za sobą palce prawej ręki. Lowkick w przyptywie świadomości rozluźnił pięści i przyłożył dłoń do ucha. Chłopiec rzucił okiem na drzwi, niepewny, czy zdąży. W międzyczasie starsza z dziewczynek poderwała na ręce zapłakaną trzylatkę i wybiegła z pomieszczenia. Na progu zderzyła się jeszcze z fartuchem, który zafalował złowieszczo w pierwszych, porannych tumanach kurzu. Jego właścicielka spojrzała wilkiem na przyklejone do ściany dziecko. Malec natychmiast rzucił się ślalomem do wyjścia, nie unikając jednak po drodze smagnięcia naręczem pokryw. Kobieta zatrasnęła drzwi, a trzymane w ręku zielsko rzuciła na zimny jeszcze piec. Oparła się o sfatygowaną framugę, obrzucając Maćka zaintrygowanym spojrzeniem. Zdmuchnęła z nosa rudy kosmyk włosów. Otworzyła usta, lecz natarczywy łomot przerwał jej w pół intencji. Przewróciła jeszcze oczami, nim otworzyła drzwi do izby z wyraźną niechęcią.

Na progu stał niewysoki mężczyzna, ubrany w czystą, wykrochmaloną koszulę. Niecodzienny widok na wsi, w środku tygodnia. Lekko zaciśnięte usta okalała starannie przystrzyżona broda, a czubek głowy wieńczył pieczołowicie upięty z gęstych, czarnych włosów kok. Brodacz rzucił Maćkowi bystre spojrzenie spod zadbanych brwi. Trudno było orzec, czy miał taki wzrok od urodzenia, czy wyczytał go w jakimś poradniku. Lekko utykając, powłóczył w kierunku łoża, na którym spoczywał fajter.

— A witam, witamy, to jest... to znaczy miło nam bardzo tak znamienitego gościa w naszym skromnym Helmsby gościć, bowiem, choć miejscowość to nie najpośledniejsza, jednak uwa-

runkowania geopolityczne sprawiają, że światowej klasy kupcy mniejsze mają o lokalne trakty staranie, sam pan rozumie, panie...

— Lowkick. — Maćko zamierzał oszczędzać słowa, gdyż ból głowy lekko się wzmógł.

— Lowkick, oczywiście, a jakże. Istotnie, godne to nazwisko człeka pańskiej pozycji. Lowkick, tak. Merthe, a co Ty tak stoisz, dajże panu co do popicia i może jakiego jadła — warknął sołtys w kierunku rudowłosej, która przysłuchiwała się spotkaniu nadal oparta o wysłużoną framugę. Przysiadł na brzegu łóżka. — Śniadania pan jeszcze nie jadł, jak mniemam? No właśnie, widzi pan, zaraza z tymi miejscowymi, bo choć dobrzy to ludzie, to ogłady brak, pewnych, rozumie pan... cech towarzyskich nie wytworzyli, dbam o nich jak umiem, edukuję, ale wie pan jak to jest z tym plebsem, nieraz i najświetniejsze dusze... zresztą, gdzież i moje maniery. Tumilis. Emil Tumilis, sołtys Helmsby, niegdyś zwanego Malizną. Bardzo mi miło.

Maćko uściśnął podaną mu dłoń. Ból głowy narastał z każdym kolejnym słowem.

— Tumilis, Emil Tumilis. Szlacheckie to, wie pan, nazwisko, jednak takie to czasy nam nastały, że i co obszerniejsze umysły zamknięte bywają w okowach geopolitycznych uwarunkowań, w takim, na ten przykład, Helmsby. Cóż jednak począć, misję swą trzeba z godnością przyjmować, nadzieją żyjąc, że starania o cywilizacyjny postęp lokalnych społeczności nie pozostaną niezauważone, a nadejdzie może i taki dzień, że sprawiedliwość życiowa się o mnie, to znaczy o takie osoby, upomni. — Tumilis spojrzał znacząco na fajtera.

— Tak... Tumilis, Emil. Zapamiętam, na pewno. — Maćko skrzywił się lekko. W głowie dudniło mu już niemiłosiernie. — Panie... sołtysie. Czy moglibyśmy dalszą rozmowę... odłożyć nieco... głowa, rozumie pan...

— Oczywiście, ależ oczywiście. — Tumilis wyprostował się jak struna. Zamachał gwałtownie rękami na Merthe, która wróciła właśnie z miską kaszy i dzbankiem mleka. — Wszyscy wychodzić! Pan Lowkick musi odpocząć!

Kobieta prychnęła, rzucając przygotowany naprędce posiłek na stół. Nim zniknęła w przed-sionku, zdążyła jeszcze rzucić fajterowi obrażone spojrzenie.

— Sołtysie... — sapnął Maćko, gdy mężczyzna stał już na progu. — I dzieci... dzieci proszę nie wpuszczać...

Tumilis ukłonił się lekko, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Do uszu Lowkicka dotarła z sieni przytłumiona reprimenda. Tupot małych stóp ginący gdzieś za oknem upewnił go, że sołtys wziął sobie jego prośbę do serca.

.....

Obudziła go cisza. Nie pamiętał nawet, kiedy ból głowy ustał, robiąc miejsce sennym marom. Najważniejsze, że ustał na dobre. Maćko przetarł oczy. Słońce chyliło się powoli ku zachodowi. Westchnął ciężko, gramoląc się z pościeli. Na stole pod oknem stała miska pełna kaszy i

kubek mleka. Mimo głodu, Lowkick opróżnił jedynie kubek. *Najpierw obowiązki, potem przyjemność.*

Wychodząc z izby, potknął się o zwitek szmat. Szarobura masa poruszyła się, a spod kołtunów koloru ziemi zaświecił szeroki uśmiech idioty. Maćko przeklął w duchu.

— Sajmonella. — Fajter pomógł wstać młodzieńcowi. — Co Ty tu robisz? Leżałeś tu cały dzień?

— No... no tak, panie. Coby dziecka nie przeszkadzały, boście zmęczeni byli. — Sajmonella patrzył na mężczyznę z gwałtownie narastającym podekscytowaniem. Obawiając się kolejnego strumienia paplaniny, Maćko przerwał wieśniakowi w pół niemego pytania.

— Zaprowadzisz do sołtysa? Przyjmuje jeszcze o tej porze?

— Ano, a pewno, taką personę... a pewno — Sajmonella był wyraźnie dumny, że stary fajter powierzył mu jakieś zadanie. — Proszę, za mną idźcie, to niedaleko, tu zaraz, ino...

— Chłopcze... — Lowkick starał się utrzymać cierpliwy ton głosu. Uśmiechnął się lekko widząc, jak młodzieniec niemal stężał w oczekiwaniu. Nie chciał robić mu przykrości. Wieśniak, bądź co bądź, warował pod jego drzwiami cały dzień. — Trochę jeszcze boli mnie głowa... gdybym mógł cię prosić... porozmawiamy później, dobrze?

— Aaa... pewno, pewno. Jak mówicie, panie, jak mówicie — wydukał nieco zawiedzionym głosem.

Do siedziby sołtysa podążyli w ciszy, przerywanej wyłącznie miarowym człapaniem bosych stóp Sajmonelli. Stanąwszy w końcu przed budynkiem Maćko wziął głęboki oddech, zanim wszedł do środka. Nie zauważył kunsztownego reliefu na belce nad drzwiami, nie zwrócił uwagi na świeżą słomę na dwuspadowym dachu. Nie miał dziś na to czasu. Lowkick bywał sporo. Bywał aż stał się obyty. W tak mizerne progi wstąpił jednak po raz pierwszy. Nie spodziewał się wyłożonej marmurem posadzki ani złotego tronu, widywał jednak ładniejsze krzesła z wikliny i równiejsze klepiska. Rozparty na drewnianym siedzisku Tumilis pasował tu istotnie jak pięść do nosa. Nic dziwnego, że miał nadzieję na wszechdosięgającą rękę życiowej sprawiedliwości.

— Szanowny panie Lowkick! — Tumilis wyszczerzył szeroko zęby na powitanie. — Ufam, że wypoczął pan dostatecznie?

— Tak, dziękuję. — Maćko zatrzymał się o kilka kroków od sołtysa. Uśmiechnął się lekko. Na śnieżnobiałej koszuli dostrzegł długi, rudy włos. — Wdzięczny jestem za strawę i czystą piekarnię. Zapewne interesuje pana cel mojej wizyty, powinienem chyba wytłumaczyć moje nagłe przyby...

— Szanowny panie Lowkick! — Sołtys klasnął w ręce, przerywając fajterowi w pół zdania. Zza parawanu po prawej stronie izby wychynęła kobieta w średnim wieku, trzymając w dłoni

dwa kieliszki i okazały, gliniany dzbanek. Maćko miał nadzieję, że była w nim tylko czysta, bezprocentowa woda. Pomylił się jednak i w kwestii procentów, i napoju. Gdy wychylił z sołtysiem „urzędowego”, mleko aż zafurkotało mu w żołądku. Fajter przeklął się w myślach za nietkniętą miskę kaszy.

— Panie sołtysie...

— Emil — rzucił bardziej do siebie, niż do gościa.

Maćko obserwował z niepokojem, jak Tumilis napełnia ponownie kieliszki. Po drugiej kolejce był już pewien, że trzeciej nie zdzierży. Nim dobiegł do drzwi, mleko skisło, a wraz z nim protokół dyplomatyczny. Pozostawiony sam sobie sołtys westchnął ciężko i osunął się na klepisko. Wznosząc oczy ku niebu, przechylił butelkę. Na swoją korzyść.

Kilka minut później stary fajter powrócił chwiejnym krokiem, nieco bardziej pomarszczony niż zwykle. Oczy sołtysa rozbłyły.

— Szwny pnie Lowkick!

— Emil, błagam... — Maćko uśmiechnął się słabo, odtrącając podany mu kieliszek. Stracił w tej zapadłej wsi już zbyt wiele czasu. — Przejdźmy do rzeczy. Jestem tu z rozkazu Gildii Fajtrów, w pościgu za...

— Ghhh... — Siedzącym na klepisku Tumilisem nagle zakołysało, jakby ktoś klasnął mu zniekacka przed nosem. — Fff-fajtrów? To wy... ty... nie kupiec? Ks... księcia nie znasz?

— Nie, jestem miszce...

— Aaa... aaa wiesz, kogo... kogo ja znam? — Mężczyzna przechylił do tyłu głowę i patrząc na Lowkicka zawiadiacko, wyduł dolną wargę. Po chwili głowa opadła mu gwałtownie do przodu, a rozluźnione ciało aż przygarbiło się od impetu. Emil ni to sapnął, ni to zacharczał. — Nikogo... k... wa... nikogo... a ty... ftrów... a co mnie... fajtrów...

Głowa sołtysa powoli opadła, prawie do samej ziemi. Gniewny bełkot zastąpiło poszarpane charczenie, stopniowo przechodzące w coraz bardziej równomierne pochrapywanie. Po kilku minutach Maćko uznał, że spity mężczyzna zasnął. Gdy zaczął zbierać się do wyjścia, Tumilisem targnęło znowu, tym razem do pionu.

— Aaa, a wiesz co... Lokik? — Emil rzucił nieprzytomne spojrzenie prosto w oczy fajtera. — Aaa, to wypierdalaj... i... i wiesz co, Lokik? Weź tego tam... co o Gildii... wiesz? Weź go i www... www...

— Wiem, Tumilis, wiem. — Maćko uśmiechnął się krzywo. Wypadł na zewnątrz, nim sołtys zdążył wyduć także górną wargę.